

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ukraina, miasto Prypeć, 25 kwietnia 1986 roku

Miejsce, w którym zawsze na nią czekał, teraz było puste. Został jedynie karton za betonowym klombem z różami, służący mu za siedzisko. Widział ją, gdy przyjechała, posłała mu uśmiech, a on skinął głową, więc powinien tu teraz być. Tak jak to się działo zawsze.

Nie był żebrakiem, mówiono o nim człowiek z zaburzeniami, nazywano profesorem. Kiedy nikt nie widział, dzieciaki krzyczały za nim głupek. Milicja tolerowała jego obecność, wielu go znało. Zanim stał się tym, kim był dziś, uczył dzieci tych milicjantów albo ich samych. Dobrze go wspominali z dawnych czasów.

Zawsze w tym samym płaszczu, z utworami Szekspira w kieszeni, snuł się poboczami dróg, nikomu nie przeszkadzając i się nie narzucając. Co rano, jeszcze przed otwarciem spożywczaka, wciskał się w swoje miejsce między ścianą a klombem i siedział tam, prawie niewidoczny dla przechodniów. Przeważnie czytał rozpadającą się ze starości książkę, zawsze tę samą, albo palił i przyglądał się ludziom. W dobrze ukrytej rozpadlinie, w betonie, jak w szufladzie kredensu, przechowywał zapalki i znalezione niedopałki. Ci, którzy o skrytce wiedzieli, wkładali mu w nią czasami kilka papierosów, monetę albo banknot, mając pewność, że nic nie zginie. Ludzie w Prypeci żyli uczciwie i nie narzekali na swój los.

Odkąd sięgnąć pamięcią, towarzyszył mu pies. Nikt nie wiedział, jak się nazywa, ponieważ Dmitrij Martow z nikim nie rozmawiał, nawet ze swoim psem. Rozumieli się jednak tak samo, jak siebie przypominali. Obaj chodzili wolno, powłócząc długimi nogami, z głowami zwieszonymi, ale oczami ku górze, łypiąc nimi dookoła. Sprawiali wrażenie niezainteresowanych światem, nie była to jednak prawda. Żaden z nich nigdy nie tracił czujności, dokładnie znając panujące między ludźmi zależności i wyczuwając ich nastroje. Dmitrij miał lekko kręcone, siwe włosy i rzadki zarost w tym samym kolorze, a jego pies jasną, falującą sierść przereźdaną ze starości. On miał zapadniętą twarz i wystające kości policzkowe, pies zapadnięte boki i sterczącą miednicę. Obaj wyglądali na więcej lat, niż mieli naprawdę.

Teraz w pobliżu wyjścia ze sklepu nie było żadnego z nich. Oksana stanęła w rozkroku, postawiła zakupy między nogami i rozcierała palce, w które przed chwilą wpijały się uchwyty siatek. Wodziła spojrzeniem po objuczonych torbami kobietach, po mężczyznach stojących w grupach i ukradkiem popijających piwo, po roześmianych, umorusanych maluchach w zakurzonych tenisówkach, śmigających wokół jak wypłoszone z ula pszczoły. Dzień był słoneczny, a nastrój podniosły, zbliżało się ulubione przez wszystkich majowe święto. W tym roku szczególnie uroczyste, gdyż miało nastąpić uruchomienie diabelskiego młyna, symbolu miasta, dumy wszystkich mieszkańców. Oksana straciła z pola widzenia swoje dzieci, ale nie bała się o nie, nigdzie nie było tak bezpiecznie jak w Prypeci. Przyjechała tu jako jedna z pierwszych, w czasie gdy miasto powstawało, i przez tych szesnaście lat nie słyszała, aby coś złego się tu wydarzyło. Właśnie za to poczucie bezpieczeństwa, a także za dobrze zaopatrzone sklepy, nowe przedszkola, szkoły

i osiedla, opiekę medyczną, place zabaw, nieskalaną przyrodę i inne luksusy niedostępne w pozostałej części kraju mieszkańcy kochali swoją Prypeć. No i oczywiście za pracę, którą dawała elektrownia w Czarnobylu. Skierowanie do pracy w elektrowni wiązało się z przydziałem mieszkania i możliwością korzystania ze szczególnej opieki państwa. Prestiż zyskiwała cała rodzina.

Dmitrija Martowa wciąż nie było, Oksana schyliła się więc po swoje siatki i ruszyła w stronę przystanku autobusowego. Papierową torbę, w której miała chleb, kielbasę i pasek słoniny, położyła na wierzchu jednej z siatek, z nadzieją, że w drodze na przystanek spotka nauczyciela i da mu to, co dla niego kupiła. Wkrótce dogoniły ją dzieci. Skakały, wymachując papierowymi kwiatami, które dla siebie wybrały na pochód pierwszomajowy. Siedmioletni Igor podchodził do zbliżającego się wydarzenia z pełną powagą, młodsza o trzy lata Jana traktowała je jak okazję do kolejnej zabawy. Mimo to świetnie się dogadywali, wzajemnie snując przypuszczenia, co niezwykłego spotka ich w tym dniu.

Oksana czuła, jak słońce przypieka jej odsłonięty kark, przerzuciła więc warkocz na plecy, aby osłonić jasną skórę. Robiło się coraz bardziej gorąco. Wiosna tego roku przyszła wcześniej. Wszystko kwitło na bogato, soczyście zielone drzewa kołysały się sennie, a polne kwiaty, których wszędzie było pełno, rozsiewały słodką woń, wabiąc owady. Niebo było nieskazitelnie gładkie. Jeżeli pogoda się utrzyma, majówka będzie cudowna dla wszystkich.

Dokazujące dzieci szybko rozproszyły jej myśli, podobnie jak mijający ją znajomi, z którymi wymieniała krótkie pozdrowienia.

Kiedy doszła do przystanku, była zdyszana. Nie przepadała za takim ostrym słońcem, wprawdzie ciało miała

krzepkie, ale cerę jasną. Szukając cienia i przynajmniej małego podmuchu wiatru, stanęła w pobliżu rzadkich krzewów i młodych brzózek, w niewielkiej odległości od grupki osób skupionych pod wiatą z blachy falistej. Dzieciaki poszły czytać rozkład jazdy, chociaż każdy wiedział, że autobus kursował wedle tylko sobie znanego planu. Jedynie, co można było zrobić, to czekać, aż się pojawi. Droga na tym odcinku wciąż nie była utwardzona, każdy przejeżdżający samochód wzbijał w powietrze tumany kurzu. Na szczęście jeździły rzadko.

Oksana odstawiła siatki i ponownie roztarła obolałe od dźwigania palce. Miała ochotę usiąść na trawie, ale pomyślała o swojej ślicznej żółtej sukience. Zielonych plam nie były w stanie sprać żadne mydliny, ani nawet zagraniczny proszek, którego i tak miała resztkę.

Nagle poczuła szarpnięcie, ktoś chwycił ją za nadgarstek i pociągnął głębiej między młode drzewka. Zachwiała się, zrobiła dwa kroki w tył i dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje, i mocno się przestraszyła. Wciągnęła powietrze, już chcąc wzywać pomocy, gdy zobaczyła, że osobą trzymającą ją za nadgarstek jest Dmitrij.

— O co chodzi? — zapytała.

Mężczyzna nie zwolnił uścisku, lecz również nie próbował wciągać jej głębiej w zagajnik. Patrzył na nią szeroko rozwartymi oczami, pełnymi strachu. Ostatni raz nawiązali kontakt wzrokowy kilka lat temu, gdy uczył w miejscowej szkole, do której odprowadzała córkę. Potem, gdy tak bardzo się zmienił, przestał patrzeć ludziom w twarz.

— Co się stało, profesorze? — Dmitrij Martow pochylił głowę, niespokojne spojrzenie wlepił w coś na wysokości jej ramion.

— Zabierz dzieci i wyjedź z miasta — nakazał ochry-

płyn głosem kogoś, kto dawno nie mówił. Nie było w nim wahania, żadnego cienia wątpliwości, co sytuacji dodawało grozy. Jego uścisk jak kajdanki wzmagał w Oksanie poczucie zagrożenia. — Jesteście w niebezpieczeństwie. Jutro będzie za późno.

Wyrwała się i cofnęła. Patrzyła na Martowa, lecz on wciąż nie patrzył na nią.

— Mamo — dobiegł ją głos dzieci — autobus!

— Oksano, zrób, co mówię... — Nie miała pojęcia, że pamiętał jej imię.

Szła tyłem, aż o mało się nie przewróciła, potykając się o siatki z zakupami. Kierowca czekał tylko na nią, lecz nie była w stanie przyspieszyć. Ruszała się ospale, jej mięśnie straciły całą sprężystość. Słowa nauczyciela przestraszyły ją bardziej, niż powinny, był tylko włóczęgą niespełna roztumu. Odkąd zniknął ze szkoły, nie słyszała jego głosu, może stąd to oszołomienie?

Nie oglądając się za siebie, wsiadła do autobusu. Drugi raz potknęła się na wysokich stopniach, a potem uderzyła kolanem o metalową obręcz fotela. Drzwi syknęły i zatrzasknęły się z hukiem. Przez splątane myśli docierały do Oksany nawoływania dzieci, jednak nie poświęciła im uwagi. Patrzyła na stojącego w cieniu Martowa i psa siedzącego przy jego nodze. Kiedy autobus ruszył, Martow też na nią spojrział. W jego twarzy nie było widać szaleństwa, które spodziewała się zobaczyć, co zapewne przyniosłoby jej ulgę. Wariaci przecież robią i mówią wiele dziwnych rzeczy i nikt nie traktuje ich poważnie. Dmitrij Martow wyglądał jednak zupełnie normalnie, dużo zwyczajniej niż przez ostatnie lata. Przypominał sobie z dobrych czasów, kiedy cieszył się szacunkiem ludzi i był kochany przez dzieci. Oksana poczuła, jak unoszą się drobne włoski na jej ciele. Mężczyzna podniósł ramię

i wskazał w kierunku przeciwnym do osiedla, gdzie mieszkała, w stronę drogi wylotowej z Prypeci. Autobus mijał go wolno. Oksana nie zważając na tłok, przepchnęła się na sam koniec, nie spuszcżając profesora z oczu. Gdy tam dotarła, rzuciła siatki i niemal przytknęła nos do tylnej szyby. Była jak w transie, nie mogła przestać na niego patrzeć. Widziała, jak jego usta układają się w słowo: uciekaj.

Im bliżej domu była, tym bardziej nedorzeczne wydało jej się to, co przeżyła na przystanku. Wewnętrzny dygot zwałała na karby dokuczliwego słońca i zmęczenia. Zaczęła myśleć o tym, co przygotuje na obiad i co zapakuje mężowi do pracy, dziś miał nocną zmianę, lubił wtedy pojeść. Ciastem drożdżowym albo rogalami z serem chętnie dzielił się z kolegami, nic z tego, co mu pakowała, się nie marnowało. Chłopcy z elektrowni byli młodzi i wiecznie głodni, lubili jej wypieki prawie tak samo jak wódkę. Postanowiła, że upiecze brytfankę drożdżowego, dzieci też się ucieszą. Po wyjściu z autobusu kazała im iść blisko siebie. Zdziwiły się, nieprzyzwyczajone do tego, i z trudem się powstrzymywały, aby nie pobiec przodem w kierunku domu. Przecież dobrze znały osiedle, jego zakamarki i wszystkich sąsiadów.

— Macie iść blisko mnie — nakazała, udając przed sobą, że zmiana jej zachowania nie ma nic wspólnego z ostrzeżeniem Dmitrija Martowa. — Biegacie jak oszałali, Jana znowu dostanie kaszlu. — Akurat to była prawda, dziewczynka, od urodzenia delikatna, często cierpiała z powodu objawów przypominających astmę. Wystarczyło trochę wysiłku, zbyt ciepły lub zimny dzień, aby dopadł ją kaszel, angina albo zapalenie oskrzeli.

— Czuję się świetnie, mamusiu! — zawołała Jana i już chciała wyrwać się do przodu, lecz posłuszny Igor złapał ją w porę.

— Jak nie będziesz słuchała mamy, to naskarzę tacie i nie pójdziesz na pochód — zagroził.

— Bo jesteś skarżypytą. Jak mała dzidzia. — Obrażona wywalila język.

— Mamo, spójrz! — Igor wskazał w kierunku ich podwórka. Na ławce przed wejściem do bloku w objęciach swojego chłopaka Mykoły siedziała najstarsza z trójki rodzeństwa, Polina. Oksana natychmiast przyspieszyła, a dzieci, zapomniawszy o nakazie, pobiegły w kierunku przyjaciół bawiących się przy śmietniku.

— Polina, natychmiast do domu! — krzyknęła. Dziewczyna nie zareagowała. — Co wy wyprawiacie, ojciec jest na górze. Wystarczy, że spojrzysz przez okno i od razu zobaczysz, jak się obściskujecie.

— Nie obściskujemy się, mamo — wyjaśniła szesnastolatka. — Mykoła trzyma tylko rękę na oparciu ławki za moimi plecami.

— To wystarczy, aby ojciec wpadł w szal. Przybiegnie tu i obojgu wam przetrzepie skórę.

— Ja jestem dorosły, pani Oksano.

Kobieta prychnęła.

— Ale ona nie!

— Przecież wiesz, że się kochamy. — Głos Poliny lekko się załamał. Oksana westchnęła z bezsilności, postawiła siatki i wcisnęła się między nich. Musieli się rozsunąć, ręka Mykoły bezpiecznie opadła. Tyle razy już to przerażali, lecz najwyraźniej wciąż nie dość, aby dzieciaki zrozumiały. O ile Polinie można to było wybaczyć ze względu na młody wiek, o tyle zrozumienia dla chłopaka Oksana nie miała. Od dwunastolatka wymagała więcej rozsądku.

— Jeżeli będziecie się tak zachowywać, ojciec zabroni

wam spotkań. Wiecie, jak trudno było je wynegocjować. Jeśli złamiecie warunki, drugiej szansy nie będzie.

— Wtedy uciekniemy i nigdy więcej mnie nie zobaczycie — zagroziła gniewnie Polina i obróciła się do matki plecami.

— Ciekawe, co zrobisz, jak wam nie wyjdzie?

— Pani Oksano, ja się z Poliną ożenię. Przecież pani wie...

— Wiem, wiem — westchnęła znowu — ale najpierw ona musi skończyć szkołę i dorosnąć. A ty... no sam wiesz.

— Przekonać tatę Poliny, że jestem dla niej odpowiedni.

— Coś w tym rodzaju. Przyznam, że nie najlepiej się starasz. Łamiesz zasady, prowadzasz się z jego niepełnoletnią córką, snujesz teorie spiskowe, czym doprowadzasz go do szaleństwa. Ostatnio wściekł się tak bardzo, że nie mógł spać.

— To, co mówi Mykoła, jest najprawdziwszą... najprawdziwszą — zabrakło jej słowa — prawdą!

— Wiecie, czym dla ojca jest elektrownia, po co go drażnicie?

— Elektrownia nie jest bezpieczna, pani Polino. Nie chcę drażnić pani męża, ale gdyby mnie wysłuchał... Wszyscy powinniśmy stąd wyjechać.

— Głupoty opowiadasz, chłopcze. Żyjemy tu jak u Pana Boga za piecem.

— Widzę rzeczy, o jakich ani pani, ani pani mąż nie macie pojęcia. Polina mi wierzy, prawda? — Dziewczyzna zwróciła się w jego stronę i skinęła głową.

— Wierzę. I nie mogę się doczekać, kiedy opuścimy to okropne miejsce. — Poderwała się i stanęła przed nimi. — Jeśli nie chcecie pojechać z nami, to nie. Ojca nic nie przekona.

Ale ja z Mykołą nie zamierzamy tu zostać. — Młodzi posłali sobie spojrzenie mówiące, że mają plan, w który nikogo nie zamierzają wtajemniczać. Ich własne sprawy.

Jak to młodzi, pomyślała Oksana, chociaż to spojrzenie ją zaniepokoiło. Uznała jednak za niemożliwe, aby knuli coś złego, zbyt wiele mieli do stracenia.

— Dzieci — powiedziała pojednawczo — przecież tata zna się na tym lepiej niż wy.

— Tata wierzy w propagandę.

— Polina! — Matka uciszyła ją syknięciem.

Mykoła stanął obok dziewczyny.

— Ci w białych fartuchach znają się tylko na cyferkach — mówił niezbyt głośno, starając się złagodzić wypowiedź Poliny, chociaż wszystko właśnie do propagandy się sprowadzało. Sam jej to tłumaczył. — Z miejsca, gdzie ja pracuję, widać dużo więcej.

— Żartujesz? Jesteś stróżem — oburzyła się Oksana. Dobrze, że jej mąż tego nie słucha, więcej nie wpuściłby chłopaka pod swój dach.

— I dlatego wiem więcej niż inni, na przykład jakie problemy w tej robocie mają mózgowcy. Wiem, że ukrywają wszystko, co może przysporzyć im problemów albo co nie jest zgodne z planem. Tyle spraw zamiatają pod dywan, że kiedyś to musi rypnąć.

Oksana nie po raz pierwszy słuchała oskarżeń Mykoły pod adresem pracowników elektrowni, lecz wcześniej słowa chłopaka nie robiły na niej wrażenia. Jej mąż był w elektrowni hydraulikiem i przyjaźnił się, w dużej mierze za sprawą jej wypieków, z wieloma osobami na wyższych stanowiskach. Gdyby istniało jakiegokolwiek zagrożenie, wiedziałby o nim. I nie ukrywałby go przed rodziną, ufała mu. Lecz mając świeżo w pamięci spotkanie z profesorem,

poczuła w żołądku pełzający niepokój. Coś na kształt strachu odczuwanego przed rutynowym zabiegiem, wycięciem wyrostka czy migdałków. Niby się wie, że to bezpieczne, niby ufa się lekarzom, ale póki człowiek nie obudzi się po narkozie, pełen jest podszytych fantazją złych przeczuć.

— Kiedy siedzę w kanciapie, często w nocy ktoś lubi do mnie zejść z flaszeczką. Połowa mózgowców już do pracy przychodzi pijana, druga połowa pije na zmianie. Z tego nie może wyniknąć nic dobrego, nie sądzi pani?

Oksana nie zamierzała odpowiadać i dać się uwikłać w snucie apokaliptycznych wizji. W jej rodzinnym domu wszyscy pili, podobnie w domach jej przyjaciół, i do żadnej wielkiej tragedii nigdy nie doszło. Ojciec często jej powtarzał, że człowiek nie kaktus, pić musi.

— To, co mówisz, może wpędzić cię w kłopoty, więc lepiej przestań. — Wstała i wygładziła sukienkę. — Polina, bierz zakupy, idziemy do domu.

Dziewczyna ze złością chwyciła siatki.

— Wszyscy się przez nią usmażymy, sama zobaczysz... — fuknęła obrażona.

— Bądź już cicho, na Boga! — krzyknęła Oksana, dyskretnie się rozglądając, czy nikt nie słyszał słów córki. Za wygłaszanie takich opinii cała rodzina mogłaby ponieść konsekwencje.

— Jeżeli tak będziecie się zachowywać, źle skończycie — zwróciła się do chłopaka.

— O nas proszę się nie martwić. Dopóki będziemy razem, poradzimy sobie ze wszystkim.

— A my zawsze będziemy razem — dodała Polina, czym jeszcze bardziej zdenerwowała Oksanę.

Zupełnie straciłaś głowę dla tego chłopaka, pomyślała wściekła. Zawołała młodsze dzieci, choć wiedziała, że nie

mają ochoty wracać do domu, i nie pomyliła się. Dziś jednak chciała je mieć przy sobie.

JURIJ SZYBKO się zorientował, że żonę coś wytrąciło z równowagi. Na szczęście nie widział siedzących na ławce Poliny i Mykoły, więc przynajmniej uniknęli awantury. Oksana, z reguły pogodna, teraz sprawiała wrażenie podenerwowanej, leciały jej z rąk łyżki, była milcząca.

— Czy coś się stało, kochanie? — zapytał, wchodząc do kuchni. Zaprzeczyła, ale tego się spodziewał. Jego żona była silną kobietą, w jej naturze nie leżało uzalanie się nad sobą. Z problemami radziła sobie bez proszenia o pomoc. To ona opiekowała się każdym, kto tego potrzebował, nie odwrotnie.

Poznali się zaraz po jej przyjeździe do miasta i od razu wiedzieli, że chcą ze sobą być. Znajomi mieli więcej wątpliwości, bo jako para Oksana i Jurij wyglądali zabawnie. On szczupły, o delikatnych rysach i dłoniach, ona wyższa od niego o pół głowy, z dużymi piersiami, postawna. Wróbel i kwoka, szepotali o nich. Oboje byli jednak życzliwi i lubiani, więc uszczypliwe komentarze szybko się skończyły.

Oksana — młoda przedszkolanka — i on na pierwszym kontrakcie w elektrowni. Decyzję o ślubie przyspieszyła ciąża, mieszkanie dostali od państwa, zanim Polina przyszła na świat. On utrzymywał rodzinę, a ona zajęła się wychowaniem dzieci. Oboje doskonale odnaleźli się w swoich rolach i byli zadowoleni z życia. Niczego im nie brakowało, mieli szczęście i byli go świadomi.

— Chcesz, żebym pomógł ci z obiadem?

— Nie trzeba. Przypilnuj dzieci, aby nakryły do stołu, już prawie skończyłam.

— Pięknie pachnie — pochwalił, stając za nią i obejmując ją.